

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Adam Mickiewicz

Grażyna

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi,
Na dole tuman, a miesiąc wysoko,
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi
We mgle niecałe pokazywał oko;
I świat był na kształt gmachu sklepionego,
A niebo na kształt sklepu ruchomego,
Księżyc jak okno, którądy dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku,
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury
Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni
Dyszała woda spod zielonych pleśni.

Miasto już spało, w zamku ognie zgasły,
Tylko po wałach i po basztach strażę
Powtarzanymi płoszą senność hasły;
Wtem się coś z dala na polu ukáže,
Jakowiś ludzie biegą tu po błoniach,
A gałąź cieniu za każdym się czerni,
A biegą prędko, muszą być na koniach;
A świecą mocno, muszą być pancerni.

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa,
Trzej to rycerze jadań wzdłuż parowa,
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy
Krzyknie i w trąbkę mosiężną uderzy.
Uderzył potem raz drugi i trzeci

Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada:
Brzękły wrzeczadze, pochodnia zaświeci
I most zwodzony z łoskotem opada.

Na tętent koni zbiegli się strażnicy
Chcąc bliżej poznać i męże, i stroje;
Pierwszy mąż jechał w zupełnej zbroicy,
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje;

I krzyż miał czarny na białej kapicy,
I krzyż na piersiach u złotej pętlicy,
Trąbkę na plecach, kopiją u toku,
Różaniec w pasie i szablę u boku.

Poznali męża Litwini z tych znaków,
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
«To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków,
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce;
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty,
Zaraz by w bagnie skąpał się ten plucha,
Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty».
Tak oni mówią: on niby nie słucha,
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

«Książę jest w zamku?» – «Jest, lecz o tej porze
Bardzoście wasze poselstwo spóźnili:

Dziś nie możecie stawić się we dworze,
Chyba na jutro» – «Jutro? Ani chwili.
Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,
Litaworowi o posłach donieście;
Niebezpieczeństwo na mą głowę biorę,
A wy dla znaku pierścień tylko weźcie;
Nie trzeba więcej, skoro ujrzy godło,
Pozna, kto jestem i co nas przywiodło». –

Cichość dokoła, zamek we śnie leży;
Co za dziw? północ, jesienią noc długa;
Za cóż dotychczas w Litawora wieży
Lampa jak gwiazdka między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki,
Snu potrzebują troskliwe powieki.

On przecie nie śpi. – Posłano na zwiady,
Nie śpi; lecz żaden z pałacowej straży
Ani z dworzanów, ani z panów rady
Do progu jego zbliżyć się nie waży.
Daremnie poseł i grozi, i prosi,

Groźba i prośba na nic się nie przyda;
Kazano wreszcie obudzić Rymwida.
On wolą pańską nosi i odnosi,
On głową w radzie, prawą ręką w boju;
Jego nazywa Księżę drugim sobą,
W obozie, w zamku, jemu każdą dobą
Wstęp do pańskiego otwarty pokoju.

W pokoju ciemno i tylko od stoła
Kaganiec światłem konającym płonął,
Litawor chodził po gmachu dokoła,
A potem stanął i w myślach utonął.
Słucha, co Rymwid o Niemcach powiada,
Ale mu na to nic nie odpowiada.
To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski niepowszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił,
Wrzкомо poprawia, a do głębi ciśnie;
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił,
Nie wiem, przypadkiem czyli też umyślnie.

Snać, że poskromić nie mógł wewnętrznej wrzawy
I w pogodniejsze wystroić się lice;
A jednak nie chciał, by sługa z postawy
Zgadnął pańskiego serca tajemnice.
Znowu komnatę obchodzi dokoła,
Lecz kiedy okna kratowane mijał,
Widna przy blasku miesięcznego koła,
Co się przy szyby i kraty przebijał,
Widna posepność zmarszczonego czoła,
Przycięte usta, oczu błyskawica
I surowego zagorzałość lica.

Potem w róg gmachu zwraca się z pośpiechem,
Każe podwoje zamknąć Rymwidowi.
Siadł i z kłamliwą spokojnością mówi,
Szyderskim mowę zaprawując śmiechem:

«Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś, Rymwidzie
Że Witold, pan nasz możny i łaskawy,

Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie
I spadłe dla mnie po żonie dzierżawy,
Jak swoją własność lub zdobycze cudze,
Litaworowi podarował słudze?»
«To prawda, Książę» – «My więc po te dary,
Jako przystało, wystąpimy godnie;
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,
Zapalić w zamku ogień i pochodnie.
Gdzie są trębacze? Niechaj o północy
Zjadą na miasto i stanąwszy w rynku
Na cztery wiatry trąbią z całej mocy,
A póty będą trąbić bez spoczynku,
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi.
Niech każdy piersi zbroją ubezpiecza.
Nasadzi groty i pociągnie miecza.
Zgotować żywność dla koni i ludzi;
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,
Ile zjeść można od ranka do zmroku.
Czyj koń na paszy, sprowadzić do miasta,
Nakarmić i wziąć na drogę obroku;
A skoro słońce z szczorsowskiej granicy
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Wszyscy staniecie na Lidzkiej ulicy.
Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie».

Tak mówił Książę; wprawdzie jego mowa
Zaleca zwykle do drogi przybory,
Lecz za co nagle i niezwykłej pory?
Dlaczego postać była tak surowa?
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa
Biegą że jedno drugiego nie ściągnie,
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.
Ta postać coś mi niedobrego wróży
I głos ten myśli spokojnej nie służy.

Umilkł Litawor; zdało się, że czeka,
Aż Rymwid z wziętym odejdzie rozkazem;
I Rymwid milczy, a odejście zwleka;
Bo to, co słyszał i co widział razem,

Kiedy stosuje i waży w rozumie,..
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umie.
Ale cóż pocznie? Zna, że Książę młody
Namowom cudzym mało daje ucha
I nie lubiący w długie brnąć wywody,
Zamiary knuje w swoje głębi ducha;
A skoro uknuł, nie dba na przeszkody
I hamowany tym srożej wybucha.
Lecz Rymwid, jako wierna panu rada
I zacny rycerz w litewskim narodzie,
Zapewne hańbie niemałej podpada,
Gdzieby powszechnej nie zabiegał szkodzie.
Milczeć czy radzić? na dwoje myśl dzieli,
Waha się, w końcu na drugie ośmieli.

«Panie, gdziekolwiek chęci twoje godzą,
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie;
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą,
Nie patrząc kędy, gotowi iść wszędzie;
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.
Ale, o Panie, na różnym miej względzie
Pospółstwo ślepe, twoich rąk narzędzie,
I mężów, którzy na coś więcej zdadni.
Bo i twój ojciec, choć lubił sam z siebie
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy,
Jednak nim gminne miecze ku potrzebie,
Wprzód ku radzie mądre wzywał głowy;
Kędym ja nieraz z wolnym zdaniem siadał,
A com umyślił, śmiało wypowiadał.
Więc i dziś wybac, jeśli w szczerym głosie
Zeznam, co serce ustom przekazało.
Długo ja żyłem i na siwym włosie
Dźwigam i czasów, i czynów niemało,
Przedsię dziś widzę, oby nie ze szkodą!
Rzecz dla nas starych niezwykłą i młodą.
Jeżeli prawda, że na Lidzkie państwo
Ciagniesz, do twojej należącej włści,
Ten pochód skory, coś na kształt napaści,

Zrazi i nowe, i dawne poddaństwo.
Ci, jak zwycięzcy, czekają zdobywcy,
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.

«Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie,
Ucho je gminne chwyta i przesadza;
Skąd w końcu gorzki owoc się wyradza,
Co truje zgodę i co sławę szczypie;
Okrzykną zaraz, żeś, chciwy łupieży,
Wdarł się na państwo, któreć nie należy.

«Inaczej cale po dawnym zwyczaju
Litewskie niegdyś stapały książęta,
Niosąc stolicę do własnego kraju;
Tych książąt dobrze wiek mój zapamięta.
I jeśli zechcesz iść po starym trybie,
Spuszczaj się na mnie, w niczym nie uchybię.

«Naprzód rycerstwo obeślemy wszędy,
I tych, co w mieście zostali się bliscy,
I co na wiejskie powrócili grzędy,
Mają na zamek zgromadzić się wszyscy;
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,
Ku bezpieczeństwu a większej ozdobie,
Z sowitym poczem niech staną przy tobie.
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem
Wyruszyć jutro, lub pojutrze z rana,
Ze służbą, z świętą osobą kapłana,
Tudzież z potrzebnym do uczty zapasem.
Aby się wszystko złatwiło na przodzie,
A na zwierzynie nie brakło i miodzie

«Nie tylko bowiem sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni;
A widząc zrazu pańskiej hojność dłoni,
Dobrze stąd sobie na przyszłość tłumaczy.
Tak zawsze było w Litwie i na Żmudzi;
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi».

Skończył, podchodzi ku oknom i doda:
«Wietrzno, niepewna na jutro pogoda.
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży
A tuż i rycerz oparty na łąku,
Drudzy dwaj chodzą konie wodząc w rękę;
Posły niemieckie – poznałem z odzieży;
Czy ich zawołać? czyli niech na dole
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?»

To mówiąc, okno przemknięte zaszczepił,
Niby niechący, i patrzył, i gadał,
Ale umyślnie pytanie uczepił,
By coś o posłach niemieckich wybadał.

Na to mu prędko Litawor odpowie:
«Jeżeli kiedy wychodzę po radę
Do cudzych, własnej nie ufając głowie,
Zawždy twe zdanie na początku kładę,
Boś zewsząd godzien mojej czci i wiary,
Jak w polu młody, tak na radzie stary.

«Więc choć nie lubię, by dzieł przyszłych końce
Lada czyjemu widne były oku;
Zamiar wyległy w myśleniu pomroku
Źle jest przed czasem wykazać na słońce.
Niechaj rzecz cała, dokonania bliska,
Jak piorun wprzód zabija, niż błyska;
Przetoż ja krótko pytania odbywam:
Kiedy? dziś, jutro – gdzie? na Żmudź, do Rusi.
To być nie może? – będzie i być musi;
Lecz dzisiaj tobie głąb serca rozkrywam.

«Dlatego kazał do konia i zbroi,
Dlatego nagle i orężnie godzę,
Bo wiem Witołda, że z wojskami stoi,
Gotowy wstręty czynić mi po drodze;
A może na to chciał do Lidy zwabić,
By zwabionego pojmać albo zabić.

«Ale ja z mistrzem pruskiego Zakonu
Tajemne zaraz związałem przymierze,
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze,
Za co w nagrodę ustąpię część plonu.
Jeśli, jak słyszę, przybyli posłowie,
Znać, że na jego nie zwiedziony słowie.
«Wprzód więc nim zajdą siedmiorakie gwiazdy,
Ruszymy przydać ku litewskiej sile
Niemców pancерnej trzy tysiące jazdy
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.
Będąc u Mistrza, sam sobie wybrałem,
Jakie ma przysłać rumaki i chłopcy,
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,
Żelazem kute od głowy do stopy;
Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami sieką
I dzidą srożsi od naszych daleko.

«Knecht zaś każdy ma żelazną żmiję
Którą ołowiem i sadzą utuczy,
Potem, ku wrogom nawracając szyję,
Podrażni iskrą, wnet paszcza zahuczy
Ogniem i gromem, zrani lub zabije,
Kogo jej strzelca trafny wzrok poruczy.
Od takiej broni niegdyś obalony
Pradziad Gedymin na szańcach Wielony.

«Wszystko gotowo; tajemnymi drogi,
Jutro, gdy Witold w zaufaniu zbyt niemiernie
Na Lidzie słabe zostawił załogi,
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem »

Rymwid, niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie;
Przegląda burzę, myśli o sposobie;
Skłócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie,
Z gniewem i żalem zawoła: «O Panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory!
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczora wyszczerbił na Niemcach topory,

Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać; raczej ogień z wodą!

«Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowąc: przyjacielu;
Że bardziej jeszcze niżli złe sąsiady
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy
Często u wspólnej pijają biesiady,
Snu używają pod jednymi dachy
I miecze łączą ku wspólnej potrzebie:
A jeszcze bardziej nad litewskie męże
I nad Polaki zawziętsi na siebie
Od wieku wieków są ludzie i węże;
A przecież, jeśli do domowych progów
Waż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów
Litwin mu chleba nie skąpi i mleka,
Wtenczas gad swojski pełźnie w jego ręce,
Społem wieczerza, z jednych kubków pija
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.

«Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcz
Nikt ni gościna, ni prośbą, ni dary;
Małoż Prusaki i Mazowska cary
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele.

«Spólna moc tylko zdoła nas ocalić!
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i miściny palić.
Przebrzydły Zakon podobny do smoku:
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro.
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro!

Wszystkie utnijmy! Na próżno się trzodzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki;
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całej nie znajdzie się taki,
Co by ich nie znał chytrósci i dumy,
Nie stronił od nich jak od krymskiej dzumy;
Co by nie wolał stokroć od ich broni
Raczej śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,
Raczej żelazo rozpalone w dłoni
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!

«Lecz Witold grozi? – Czyż bez obcych mieczy
Już nie zdołamy rozeprzeć się w polu?
Albo czy do tych kresów zaszły rzeczy,
Iż domowego naszych zwad kąkolu
nie zdoła wyrwać dłoń bratniej przyjaźni,
oręż dla cudzej zachowując kaźni?

«Skądże masz pewność, że słuszna twa skarga,
Że Witold znowu stawiając się upornie
Zdrady napina i umowy targa?
Posłuchaj, szlij mnie do niego powtórnie,
Wznowim umowę». – «Dość tego, Rymwidzie!
Znane mi dobrze Witołda umowy,
Wczora mu taki wiatr zawiał do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.
Wczora ufałem ksiąźcemu słowu,
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę;
Dziś Witold uknuł coś różnego znowu,
Na gwałt swobodną wysłedziwszy porę,
Gdy się do domów rozjachali moi,
A on u Wilna obozami stoi,
Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli;
Więc Witold Lidę dla siebie wydzieli,
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie.
Pewnie Ruś gołą lub bagna Warega!
Bo tam wskazana jest siedziba nasza,
Tam Witold braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega.

Patrz, jak uradził! a wie, na co radzić,
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą,
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

«Przebóg! czyż nie dość, że Witołda buta
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła,
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat jako wielki zbiegliśmy dokoła:
To na Krzyżactwo, to znowu przez Tatry
Na Polski pięknie zbudowanej sioła,
Stamtąd po stepach żeglujące z wiatry
Goniąc błędnego obozy Mogoła.
A cośmy skarbów z zamków wyłamali
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali,
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta,
Od Fińskich zatok po Chazarów morze
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta.
Sam w jakim mieście! w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu,
A przecież mniejsze od Witołda gmachu,
Co jest na Wilnie lub Trockim jeziorze!
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy ruszał dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem;
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.
Lecz któż by wierzył? u syna Kiejstuta
W pałacu świeższa murawa i kwiecie:
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra i kwieciami ze złota;
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory
Cudniejsza branek lechickich robota.
W kratkach u niego szklane okienice,
Przywożne kędyś aż od ziemi końca,

Błyszczą jak polskich rycerzy zbroice,
Albo jak Niemen, przed oczyma słońca
Spod śniegu zimne gdy odsłoni lice.

«A ja com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku
Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroje,
Książę jak Tatar żył o końskim mleku?
Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niej noc wystoję,
A rankiem znowu trąba na koń wzywa;
Że wtenczas, kiedy moi rówiennicy,
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bezpiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę
Zabawić wojny kłamanej obrazem,
Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre
Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!

«Przecież me państwa od Erdwiłła czasu
I piędziesiąt szerzej ziemi nie zaległy;
Patrz na te mury z dębowego lasu
I na ten pałac mój z czerwonej cegły;
Pójdź przez komnaty, pradziadów siedliska,
Gdzie szklanne kupie? gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych mokry kamień błyska,
Miasto kobierców śniade mchu skorupy.
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa czy skarby? nie; nic, kromia sławy!

«Ale i sławą wszystkim ponad głowę
Witołd podleciał, Witołd wszystkich gasi;
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią wajdeloci nasi.
Jego na strunach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku;
Nasze wśród gminu kto wypatrzy imię?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?

«Przecież nie zajrzym; niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imię i skarby bogaci;
Tylko niech zęba chciwego poskromi
Od swych ojcyców, od ziemi swej braci.
Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem litewska wstrząsniona stolica?
Czyż dawno Witołd kniaziów wielkich grody
Naszedł i z tronu zmiotł Olgierdowica,
I sam owładał? A tak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec,
Książąt podwyższał albo zmuszał spadać!
O! czas, że temu położymy koniec,
Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim!
Póki młodego w piersiach żywię ducha,
Póki żelazo ręki zdrowej słucha,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolim,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równy dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rze przy moim żłobie,
Którymi wierne poobdziałam sługi,
Dopóki koń mój!... póki szabla moja!...»
Tu mu gniew słowa i technienie zatłoczył,
Umilkł, lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosą
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa,
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął
I siekł w podłogę, od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

Znowu ich głuche obeszło milczenie,
Znowu rzeki Książę: «Dosyć próznej mowy,
Oto noc prawie dochodzi połowy,
Wkrótce usłyszym drugich kurów pienie;
Wiesz, com rozkazał; bądźcie w pogotowiu.
Ja legnę, może duch troskliwy spocznie
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu,
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie,
Lecz dziś zapełnia księżyc rogi nowiu,

Świt będzie widny, ruszymy niezwłocznie,
Synom Kiejstuta w Lidzie zostawimy
Godne dziedzictwo – popioły i dymy!»

To powiedziawszy usiadł i w dłoń klasnął;
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty
I legł, nie na to może, aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty.
I on, gdy widzi, iżby nic nie sprawił,
Ani co mówił, ani dłużej bawił;
Poszedł, a jako znał powinność sługi,
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził,
Potem do zamku wrócił się raz drugi,
Po cóż? czy żeby znowu z panem radził?
Nie, w inną stronę wiódł on kroki swoje
Na lewe skrzydło zamkowej budowy,
Gdzie ku stolicy spadał most zwodowy,
Szedł kruzgankami przed Księżnej podwoje.

Była naonczas Książęciu zameżną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną;
A chociaż wiekiem od młodej jutrzeńki
Pod lat niewieścich schodziła południe,
Oboje: dziewczki i matrony wdzięki
Na jednym licu zespoliła cudnie.
Powagą zdziwi, a świeżością znęca:
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie;
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.
Nie tylko licem nikt jej nie mógł sprostać,
Ona się jedna w dworze całym szczyci,
Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłej dorówna kibici.
Książęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono, jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli,
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Twarzą podobna i równa z postawy,
Sercem też całym wydawała męża.
Iglę, wrzeciono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego miała oręża;
Często, myśliwa, na żmudzkim rumaku,
W szorstkim ze skóry niedźwiedziej kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku;
Z pociechą męża nieraz w tym ubiorze
Wracając z pola oczy myli gminne,
Nieraz od służby zwiedzionej na dworze
Odbiera hołdy Książęciu powinne.

Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Ośłoda smutku, spółniczka wesela,
Nie tylko łożę i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy, i tajne układy
Częstokroć od jej zależały rady,
Acz innym rzecz ta nie była świadoma;
Bo księżna, wyższa nad żon prostych rzędy,
Które, zbyt rade, że panują doma,
Chciałyby z tym się popisować wszędy.
Owszem, cudzemu pilnie kryła oku,
Z jaką potęgą w sercu męża władnie;
Nawet baczniejsi i bliżsi jej boku
Nieprędko mogli zbadać i niesnadnie.

Mimo to Rymwid mądry odgadywał,
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie,
Szedł więc i Księżnej wynurzył otwarcie
Wszystko, co widział i co przewidywał,
Jaka stąd dawnym zwyczajom obraza,
Książęciu hańba, narodowi skaza.
Mocno Grażynę wieść nowa uderzy,
Lecz panią swojej będąca postaci,
Udaje wrzkomo, iż temu nie wierzy,
Pokoju w głosie i twarzy nie traci.
«Nie wiem ja, rzekła, czyli nad rycerzy
Więcej u pana słowo niewiast płaci;

To wiem, że sobie sam radzi roztropnie,
Wiem jeszcze lepiej: co uradzi, dopnie.
Wreszcie jeżeli nagła gniewu flaga
Docześną burzę w sercu jego wzbudzi,
Jeśli niekiedy, lotem młodych ludzi,
Chęć swą nad słusność lub nad możność wzmaga:
Zostawmy, niech czas i cicha uwaga
Rozjaśni myśli, zapęły przystudzi;
Pierzchliwe słowa niepamięć zagrzebie;
Tymczasem drugich nie trwóżmy i siebie».

«Wybaczej, Księżno! O, nie są to słowa,
Co z ust w gorącej pryskają godzinie,
Których zagastych pamięć nie dochowa;
Nie jest to zamiar, który w plątaninie
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa,
Który jako dym zamroczy i zginie;
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu!

«Nie dzisiaj jestem przy pańskiej osobie,
Od lat dwunastu znał mię wiernym sługą:
Przecież na pamięć nie przywiodę sobie,
By zemną mówił tak szczerze, tak długo.
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię,
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą
Zgromadził wojska nad grób Peresieka;
Noc będzie widna, droga niedaleka».

«Co słyszę, jutro? biada mojej głowie!
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie,
Wziął gardło lub dał za Grażyny wiano!
Pójdę i w pierwszej z Książęciem rozmowie...
Owszem, dziś idę, chocia już nierano;
Wprzód niżli nocną świt opędzi rosę,
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę».

Żegnają siebie po tym rozhovorze,
A w jedno miejsce dążyli oboje.

Księżna, i chwili nie bawiąc w komorze,
Śpieszy w gmach pański przez tajne pokoje;
Rymwid, nie bawiąc i chwili na dworze,
Śpieszy kruzgankiem i, w pańskie podwoje
Że nie śmiał wstąpić, na progu usiada,
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.

Niedługo czekał, klamka zaszeleści,
Z ubocznych progów mignie postać w bieli.
«Kto?» – woła Księżę, zerwał się z pościeli,
«Kto?» – «Ja» – odpowie znany głos niewieści.
Potem coś dłużej rozmawiać zaczęli,
A chociaż Rymwid domyślał się treści,
Głosu nie złowić, bo w echo wplątany
Połknęło miejsce lub odbiły ściany.

Rozmowa coraz żwawsza i zmieszana,
Coraz wolniała, coraz trudniej słycać,
Częściej głos pani, bardzo rzadko pana;
Milczał, niekiedy zdawał się uśmiechać.
Na koniec Księżna padła na kolana;
Wstał, nie wiadomo, podnieść czy odpychać,
Kilka słów potem wymówił goręcej,
A potem milczał i nie mówił więcej.
I było cicho; znowu postać w bieli
Przemknie się ku drzwiom, klamką zaszeleści;
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Prosić go dłużej – już w swój gmach niewieści
Odeszła Księżna. Księżę do pościeli
Wrócił, legł; cicho, i widać z tej cisze,
Że go sen twardy wprędce ukołysze.

Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał;
Odszedł nareszcie i w lewym balkonie
Giermka obaczy, który z Niemcy gadał.
Słucha ciekawie, lubo ku tej stronie
Nie szła rozmowa i wiatr ją okradał;
Wtem giermek ręką ukazał ku bronie
Co by oznaczał, Rymwid łącno zgadał.
Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło,

Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło;
«Przysięgam» wrzeszcząc «gdybym nie był posłem,
Przysięgam na ten krzyż, komtura znamię,
Iż za obelgę, którą dziś poniosłem,
Prędko by zemstę znalazło to ramię.
Między monarchy na poselstwach wzrosłem,
Ni przy cesarskiej, ni papieskiej bramie
Nie spotkało mię, co u twego panka:
Pod gołym niebem doczekać się ranka,
Iść precz, za czyim? za giermka rozkazem?
Ale ostrzegam, że nas nie ułowi
Pogański wykręt i nie minie płazem!
Wołać nas wrzkomo przeciw Witołdowi,
A potem wspólnym otoczyć żelazem!
No, obaczymy, czy Witołd odbije
Ten miecz, zanadto waszej bliski szyje!

«Powiedz Książęciu, jeśli nie dowierza,
Sam niechaj spyta, powtórzyć gotow-em,
Choć razy dziesięć tymże samym słowem,
Teraz i zawsze; bo ze słów rycerza
Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza.
A com rzekł usta, prawicą dowiodę.
Jama, którąście pod nami kopali,
Na waszą własną wykopana szkodę,
Dziś jeszcze, jeszcze tej nocy się zwali;
Tak, jakem Ditrich Halstark von Kniprode,
Komtur Zakonu! – Za mną, knechty, dalej!»

Zaczekał jednak, lecz po krótkiej zwłoce,
Gdy nic nie słyszał, bramą w pole goni;
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce,
Kiedy niekiedy podkowa zadzwoni,
Kiedy niekiedy słyszać rzenie koni,
Coraz znikają w dali i w pomroce,
Las ich na koniec i góra zasłoni.

«Jedźcie szczęśliwie, bogdaj wasza noga
Nigdy w litewskiej nie powstała ziemi!»
Rzekł Rymwid patrząc z uśmiechem za niemi.

«Dzięki, o Księżno! jaka zmiana błoga,
Jak niespodziana! Proszę teraz, kto tu
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?
Ów głos gniewliwy, owa postać sroga?
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!
Ptaszego, zda się, chciał pożyczyć lotu,
By spaść co prędzej na Witołda głowę;
Wtem jeden uśmiech i słówko miodowe
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu».
Nie dziw, zapomniał starzec siwobrody,
Że Księżna piękna, a Litawor młody!

Tak mówiąc z sobą, wznosił do góry oczy,
Może się lampa za kratą ukaze;
Na próżno patrzył, ciemność okna mroczy,
Wraca więc znowu i na ganek kroczy,
Azali Księżę wołać nie rozkaże.
Na próżno czekał, zapytywał strażę,
Zbliża się ku drzwiom: w pokoju noc cicha,
A Księżę dotąd snem twardym oddycha.

«Cuda prawdziwe! Nie odgadnę całe,
Jakim dziś wszystko idzie u nas torem;
Niedawno wołał w największym zapale,
Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,
A sam spi dotąd? Miał wyciągnąć rano,
Stoją rycerze od Niemców wezwani,
A Niemcom z niczym odjechać kazano?
Któż zaniósł rozkaz? oto giermek pani!...

«Ile z wczorajszej wróżyłem rozmowy...
Wprawdzie żadnego nie słyszał wyrazu,
Lecz długie prośby, głos pana surowy?
Miałaby Księżna pomimo rozkazu
Ważyc się sama aż na krok takowy?...
Ufna potędzie niewieścich pieścideł,
Lękam się bardzo, aby tego razu
Zbytniej śmiałości nie puściła skrzydeł.
Prawda, iż nieraz poczynała śmieć;
Lecz to byłoby więcej niż za wiele».

Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,
Który wszedł cicho i z daleka mruga;
Więc oba śpieszą w zamku lewy kraniec,
Stamtąd krużgankiem zbiegła Księżnej sługa.
Wnet sama pani w sieniach go spotyka,
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.

«Radco sędziwy, niedobrze się dzieje,
Ale rozpaczy oddać się nie godzi;
Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,
Szczęśliwsze jutro może wynagrodzi.
Bądźmy cierpliwi; nie robić hałasu
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią.
Posły odprowadzam do innego czasu,
Ażeby Księżę nagłą odpowiedzią
Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Co by rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.

«Ty się nie lękaj, jakkolwiek wypadnie,
Zamiarom pana nic się nie uszkodzi;
I potem wojsko może zwołać snadnie,
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.
Dzisiaj miał jechać, ale wyznam szczerze,
Ja tak kwapionej wyprawie nie wierzę.
Ledwie w domowe powrócony progi,
Wczora zaledwie z piersi złożył zbroje,
Z dalekiej jeszcze nie wytchnąwszy drogi
Miałżeby znowu dziś ruszać na boje?»

«Co słyszę, Księżno? ty mówisz o zwłokach:
Jak cię, niestety, rachuba omyli!
Już jest za późno, już po tylu krokach
Nie będzie czekał godziny, pół chwili;
Wreszcie obaczym. Lecz wprzód chciałbym wiedzieć,
Jak przyjął Księżę wczorajszą namowę?» –
Grażyna właśnie miała opowiedzieć,
Gdy ich zdarzenie pomieszało nowe.

Tętent jeźdźnego słyhać na dziedzińcu,
Zdyszały giermek dopada komnaty,
Przynosi wieści od litewskiej czaty,
Która po lidzkim biegając gościńcu
Teraz od Niemców dostała języka:
Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył,
A za nią knechtów i obóz pomyka;
I że przed świtem, jak czatownik tuszył
I jak niemieckie wyznawały brańce,
Chce miasto ubiec i szturmować szańce.

Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,
By go przebudzić i prędko uradzić:
Czyli na murach obrony rozsadzić,
Czyli na polu Niemcom zajrzeć w oczy.
Czatownik radzi, abyśmy się skradli
Do nich z ubocza, bo są niedaleko;
Wprzód nim się knechty z działami przywleka,
Abyśmy z nagła na lud jeźdźny padli;
Tak zapędzonym na chrapy i rowy
Łacno rajtarom i bratom łby zmieciem,
Potem fusknechtów wzięwszy pod podkowy
Do szczętu plemię jaszczurze wygnieciem.
Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniej dziwi się Grażyna.

«Giermku!» zawoła «kędyż są posłowie?"
Umilknął giermek, a niepewne lice
I pytające topiąc w niej zrzenice:
«Co słyszę, Księżno?» zdumiony odpowie,
«Alboż o własnym zapomniałaś słowie?
Niedawno, kiedy piałły drugie kury,
Samaś mi rozkaz książęcy przyniosła,
Ażebym biegał co prędzej do posła
I wyprawił go przed świtem za mury!»

«Tak» rzecze Księżna, twarz odwraca zbladła,
Lecz pomieszanie widne w jej osobie
Do ust wyrazy nieporządne kładło;
«Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie...

Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!
Biegnę – nie, stójmy – albo, wiem, co zrobię...»

Stała, milczy, przymknięta powieka,
Czoło pochyle, w którym się przebija
Jakaś myśl, jeszcze ciemna i daleka,
W niepewnych rysach okaże się, mija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka;
Dojrzeła zamiar, staje się wyrokiem,
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

«Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża,
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera;
Ty, giermku, rozkaż osiodłać hestera
I wynieś resztę pańskiego oręza.
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!
Przykazuję wam imieniem Książęcia.
Odpowiedź, starcze, wkładam na twą głowę.
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,
Nie gadać ani pytać do poranku;
Idźcie i pana czekajcie na ganku».

Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzaśła.
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:
«Gdzie idę, po co? Wszak wojska i wodze
Już zgromadzone, już wydane hasła».
Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,
Stanął z nagiętym ku ziemi obliczem
I myśląc długo, nie myślał o niczem:
Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku
Myśli samopas płaczą się bezładnie,
Ani ich rozum znużony owładnie.

«Próżno tu czekam; już bliski poranek,
Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.
Muszę z nim mówić, spi, czy nie spi Książę».
Więc stąpał prosto na pałacu ganek;
A wtem się z lekka rozwarły podwoje.
Litawor wyszedł sam jeden do sieni,

Szate miał, w jaką stroi się na boje,
Całą od sutej błyszcząca czerwieni,
Głowę pod hełmem, piersi miasto zbroje
Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni,
W lewicy tarczę mniejszego oblęku,
A pas od miecza na prawym niósł ręku

Gniewem lub troską zdał się kołatany,
Nierównym stapał i niepewnym krokiem;
Gdy się zbliżały rycerze i pany,
Uczcić łaskawym nie raczył ich okiem.
Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany,
Miecz nawet zwiesił ponad prawym bokiem,
A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,
Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli.

Już zstąpił z ganku, już chorągiew złota
Wzniesiona pocznie na dzień krwawy świtać;
Już dosiadł konia, już przyboczna rota
Miała go wrzaskiem i trąbami witać;
Lecz dał znak ręką, aby zamknąć wrota,
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać,
A pacholiki i nadworne sługi
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.
Stąd nie gościńcem puścili rumaki,
Ale na prawo skręcając się dołem,
Przepadli między kurhany i krzaki;
Znowu ku drodze nawracają kołem.
Wąwóz ciemnymi .wiedzie ich zatoki,
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.

Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzeka,
Wąskim korytem błędząca po lesie;
Ku drodze jednak coraz szerzej ścieka
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;
Puszcza okrywa z boków jej zwierciadła,
A z przodu góra wyniosła usiadła.

Tam gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujrzą wśród góry, przy blasku księżyca,
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty.
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica,
Sypią się męże, ściskają się roty,
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa, jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie;
Błędnym przechodniom zdają się u wniścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

Ten widok gniewy w Książęciu podusza,
Skoczył z wyniosłym nad głową żelazem;
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszczu,
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy lada jako puszcza;
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czole ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przywozić.

Więc Rymwid, pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje wśród drogi,
Wklęsłe ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi;
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło, chyłą majdany do nogi,
Warknęły struny, świsnęła strzał chmura, .
«Jezus Maryja! – naprzód, hop, hop, ura!»

Dopieroż drzewca ułożywszy w toku,
Zewrą się bliżej, pierś na pierś uderzy.
Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa, i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku,
Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy;
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,

Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy,
Książę, jak skoczył, tak goni na czele,
Ani się jeden między tłumem boi;
Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele,
Poznali godła na hełmie i zbroi.
Cofa się walczyć nieśmiała gromada,
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.

Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?
Cóż stąd, że zbiegłych natarczywie goni?
Cóż stąd, że bije? nikogo nie zabił,
Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,
Albo się zwija odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.

Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszczą serce; z okropnym hałasem
Nawrócą czoła, potkną się zażarcie
I gęstym włóczni otoczą go lasem;
Czy przelekniony, czy splątany w tłumie,
Brać ich na szable i tarcze nie umie.

Trudno mu było całą unieść szyję,
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze;
Wtem huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze;
Ten słabe razy swoimi poprawia,
A ten od cudzych razów go zastawia.

Już noc pierzchała, już różane włosy
Zorza na wschodnim roztacza obłoku,
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,
Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku;
A bóg zwycięstwa, przyszłe wając losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze,
I szala dotąd w równej stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzymą,
Wkoło go mokrym ramieniem obchodzi,

Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;
Ten, natarczywiej broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma,
Ani się zruszy skała w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.

Krzyżactwo, długiej niecierpliwe bitwy,
Na wierzchu góry stojący odwodem
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy;
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem,
A zmordowanych długimi gonitwy
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,
Łamiał się szyki, Krzyżactwo zwycięża;
Wtem z góry zagrzmiął straszliwy głos męża.

Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy:
Stoi na koniu, a jako rozwiodła
Szeroko cienie sterczących warkoczy
Na śnieżnej górze wybijała jodła,
Tak go szeroki płaszcz dokoła mroczy,
Czarny płaszcz, czarny koń i hełm, i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał na kształt gromu,
Nie wiedzieć za kim, albo przeciw komu.
Dobiega Niemców, między tłumem tonie,
Bitwy nie ujrzysz, ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć, w jakiej walka stronie
I jak straszliwy piorun jego ręki;
Tam szyszak zniknie, ówdzie sztandar padnie,
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.

Jako leśnicy gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słycać łoskot w dali,
Jęczą topory, chrobocą pił zęby,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali ;
Na koniec między wyciętymi zręby
Ujrzysz i męzów, i błyskanie stali:
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Dał się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Śpieszaj, rycerzu, ożywić duch męski,
Krzepić słabnących, śpieszaj, jeszcze pora!
Litwini bliscy ostatecznej klęski,
Dzid i puklerzów warowna zaporą
Już rozłamana, sam komtur zwycięski
Po całym polu szuka Litawora;
On się nie kryje, oba konie bodą
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.

Litawor szablę wynosi do cięcia,
Komtur dał ognia z piorunowej broni.
Zadrzą Litwini, pojrzą na Książęcia;
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle z słabego wyciekły ujęcia,
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając z siodła już się bokiem chyli,
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny, a jak czarna chmura
Ryknąwszy błysnie piorunowym gradem,
Z taką szybkością leci na komtura.
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzeć, aliści komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po niem.

Gdzie obskoczyły Książęcia dworzany,
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły,
Ostrożnie zdziera blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły;
Wtem krew na nowo wytrysnęła z rany,
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła,
Otwiera oczy, spoziera dokoła
I znowu wciska na oczy przyłbice;
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
«Już jest po wszystkim, starcze » mówi z cicha,
«Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę;
Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę,
Więźcie do zamku, tam wyzionę duszę».

Rymwid szerokie oczy w nim utopił,
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi,
Upuszcza rękę, którą łzami kroił,
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi,
Teraz poznaje głos, nieznany wczora –
Niestety, nie był to głos Litawora!

Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył, sam do pana skoczył,

Rumaki każe nawrócić ku drodze,
Chwiejącego się ramieniem otoczył,
Składa na piersiach, krew dłonią zaciska,
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

I zbliżają się pod okopy grodu.
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce;
Ci bodąc konie przez tłumy narodu
W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce;
A skoro wpadli, uchylono zwodu,
Rycerz strażnikom przykazuje srogo
Ni tam, ni za się nie puszczają nikogo.

Wnet z resztą hufów ciągną bojownicy,
A choć wygrali tak przeważne pole,
Mała stąd radość była po stolicy;
Ból serca ścisnął, żałoba na czole,
Każdy się pyta troskliwy o pana:
Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?

Nikt nie był w zamku, nikt o niczym nie wie;
Podjęto mosty i zemkniono zwory.
Tymczasem w fosę, między gęste krzewie,
Schodzą trabanci z piłami, z topory,
Sieką chrust, wałą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wiory
Toczą na barkach i wozach do miasta;
Na taki widok żal i postrach wzrasta.
Kędy świątynie miał władca pioruna
I bóg, co wichrem niepogodnym świszczę,

Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcze
Tam stos ogromny kładą pod obłoki,
Dwudziestem sążni długi i szeroki.

W środku dąb sterczał, a pod dębem stoi
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku,
Z orężem, w hełmie i zupełnej zbroi,
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku;
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzody,
Zabójca księcia, Dyterich z Kniprody.

Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany,
Czekają końca, zgadywać nie śmieją;
Każdy zarówno w myślach kołysany
Między bojażnią, żalem i nadzieją
W zamek smutnymi poziera oczyma,
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

Przecież i trąba ozwała się z wieży,
I most opada, i wolnymi kroki
Rusza się orszak w żałobnej odzieży,
Niosąc na tarczach bohatera zwłoki;
Przy nich łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,
Wkoło purpurą świeci płaszcz szeroki:
Książęce stroje, lecz nie widać lica,
Bo je spuszczone zawarła przyłbica.

To on, to Książę, wielkiego pan kraju,
Mąż dużej ręki! któż mu rówien będzie,
Czy gromić Niemce i hordy Nogaju,
Czy lud na słusznym rozsądzać urzędzie?
Panie nasz! za cóż dawnego zwyczaju
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?
Nie tak albowiem starożytność święta
Czciała twe przodki, litewskie książęta.

Za cóż do nieba nie idzie za tobą
Twój giermek, każdej nieodstępny drogi,
I z próżnym siodłem, okryty żałobą

Towarzysz pola, koń jelenionogi;
I sokół, i psy, co wiatr pyskiem sieką,
I drugie z pyskiem wietrzącym daleko?

Szemrała gawiedź. – Rycerze na stosie
Składają ciało, mleko i miód leją;
Przy długiej trąby i fletni odgłosie
Śmiertelne pieśni wajdeloci pieją.
Starszy pochodnią wziął i nóż ofiarny.
«Stójcie!» – stanęli – nadjechał mąż czarny.
«Któż on? pytają wszyscy, któż on taki?»
Poznało wojsko: on na polu wczora,
Kiedy litewskie złamano orszaki
I obstapiono zewsząd Litawora,
Przypadł, odwagę stygnącą zapalił,
Niemców wysiekał, komtura obalił.

Tyle o czarnym rycerzu wiadano.
Dziś w tymże płaszczu, na tymże rumaku;
Lecz po co przybył? skąd ród? jakie miano?
Stójcie i patrzcie: uchyla szyszaku,
Uchyla twarzy; on! Litawor! Książę!
Dziw nagły zmysły i mowę zabiera,
Na koniec radość skrzepły głos rozwiąże
Opłakanego widząc bohatera;
Wrzasną i klasną, wrzask o gwiazdy bije:
«Litawor żyje! Książę, pan nasz żyje!»

Stał i ku ziemi dzierżał lice blade.
Hałas grzmi jeszcze, powtarzany echem;
Zwolna wzniosł czoło, obejrzał gromadę,
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.
Nie był to uśmiech, co z serca poczęty
Rozjaśni lica i w oczach zaświeci;
Ale jakoby gwałtem przyciągnięty
Usiadł na ustach i wkrótce uleci;
Tyle dodaje smutnej twarzy wdzięku,
Ile kwiat w bladym nieboszczyka ręku.

«Zapalcie zgliszcz!» – Pałą; ogień bucha, .
A Książę dalej: «Wiecie-li wy, czyje
Zwłoki na stosie giną? » – cichość głucha –
«Niewiasta, choć ją męska zbroja kryje,
Niewiasta z wdzięków a bohater z ducha;
Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!»
Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach,
Ginie w płomieniach i dymu obłokach

EPILOG WYDAWCY

Czytelniku, jeżeliś przepatrzył cierpliwie
I nierad śnać do końca, czemu się nie dziwię,
Bo w żmudnym zaplątaniu gdy wątku nie schwyta
Podrażniona ciekawość, gniewa się niesyta:
Za co Książę sam został, a wyprawił żonę?
Za co śród boju przyniósł niewczesną obronę?
Czy Księżna własną wolą zastąpiła męża?
Przecż Litawor na Niemce jął się do oręża?
Dostatnich odpowiedzi na próżno byś badał.
Wiedzże, iż autor, co te historyje składał,
Ile widział lub słyszał (był naonczas w mieście),
To pokrótce spisawszy, zamilczał o reszcie,
Nie mogąc prawdy zmacać i na jaw wysadzić,
A nie chcąc fałszywymi domysłami zdradzić.
Gdy umarł, jam rękopis wziął po nieboszczyku,
A sądząc, iż rad będziesz, miły czytelniku,
Kiedy z ukrycia wyjdą na publiczne oczy
I koniec się jakkolwiek przycięty dotoczy,
Pytałem Nowogrodzian, ludzi godnych wiary,
Ale żaden nie wiedział, jeno Rymwid stary;
I ten, jak stary, prędko rozstał się z żywotem,
A póki żył, nikomu nie powiadał o tem
(Śnać w przysiędze uwiązany albo w obietnicy).
Szczęściem, był drugi człowiek świadom tajemnicy,
Giermek Księżnej, podonczas we dworcu przytomny;
Ten jako człowiek prostak, mniej w języku skromny,
Gadał, a jam spisował, widząc, iż powieści

Wiążą się do podanej od autora treści.
Czyli całkiem prawdziwe, trudno dać porękę,
A kto o fałsz pomówi, nie wyzwę na rękę;
Bo tu nic zgoła własną nie nadstarczam głową,
A com z giermka usłyszał, oddam słowo w słowo.
Giermek zaś tak powiadał: «Księżna sfrasowana
Długo błagała męża, padłszy na kolana,
Ażeby na kark Litwie nie zwał nieprzyjaciół;
Ale on tak się w gniewie uporczywy zaciął,
Iż jej prośby z szyderczym słuchając obliczem,
„Nie i nie" odpowiadał i odprawił z niczem.
Sądziła go przekonać łacniej w innym czasie;
Rozkazała posłańców zatrzymać w tarasie
Lub za mury wyprawić. Wyprawiłem cicho;
Zbłądziliśmy oboje, a stąd całe lichy.
Bo komtur, odpowiedzią twardą zagniewany,
Miasto posiłków niesie ogień i tarany.
Kiedym o tej nowinie uwiadomił panią,
Biegła znowu do męża, ja z daleka za nią.
Weszliśmy; ciemno było w komnacie i głucho,
Książę strudzony zasnął na oboje ucho;
Staneła podle łoża, lecz nie śmiała budzić,
Czy nie chcąc darmo prosić, czy sennego trudzić.
Ale wrychle na obrót rzuciła się nowy:
Bierze szablę, Książęciu leżącą u głowy,
Pancerz kładzie, mężowski płaszcz na piersiach zwiesza
I lekko drzwi przemknąwszy, na ganek pośpiesza.
Mnie srogo zakazuje o niczym nie gadać.
Koń już był osiodłany; kiedy miała wsiadać,
Szabli nie obaczyłem przy jej lewym boku,
Zapomniała przypasać lub zgubiła w mroku.
Biegnę, szukam, powracam, aż zamkniono wrota:
Patrzę oknem, niestety! już za bramą rota.
Strach mię ścisnął, jakobym obrzucan żarzewiem,
Myślę, pocę się, kręcę, co mam począć nie wiem.
Widać blask i grzmot działa rozlega się w dali;
Zrozumiałem, że z Niemcy bitwę zagajali.
Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania,
Czy zbudzony łoskotem, zerwał się z posłania,
Woła; klaszcze i woła; ja, drżący ze strachu,

Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu;
Widziałem, jako szukał oręża i zbroje,
Kołatał we drzwi, skoczył na Księżny pokoje,
Wrócił, wyłamał rygle, wyleciał na ganek.
Ja do okna (a już się zbierało na ranek);
Książę spoziera wkoło i nastawia uszy,
I krzyczy, ale w zamku nie ma żywej duszy.
Potem na dół, jakoby nieprzytomny sobie,
Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie;
Wyjechał ku okopom, wstrzymał się u wałów,
Słuchał, skąd zgiełk uderza, skąd ogień postrzałów,
A wypuściwszy wodze, lotem błyskawicy
Przez dziedziniec, most, bramę pędzi ku stolicy.
Jak w oknie patrzę, czekam niecierpliwie końca.
Wszystko ucichło, zgasło koło wschodu słońca.
Wraca Litawor, Rymwid; i Grażynę, z łęku
Wysadziwszy omdlałą, dźwigali na rękę.
Strach wspomnieć: kędy stąpią, krwawy strumień pryska.
W pierś ciężko zraniona i skonania bliska,
Padła niema, to nogi ściskając książęce,
To załamane k'niemu wyciągając ręce:
„Przebacz, mężu mój, pierwsza i ostatnia zdrada!”
Książę płacze, podnosi, zemdlona upada.
Skonała – Wstał i odszedł, i rękami oczy
Zakrył, i stał. – Ja wszystko widziałem z uboczy.
A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łożę ciało,
Umknąłem. – Wiecie wszyscy, co się dalej stało».
Tyle on giermek gadał pod sekretem zrazu,
Lecz ze śmiercią Rymwida minął strach zakazu
(Bo Rymwid wzbroniał o tym przed ludem rozplatać).
Wieść tłumiona poczęła coraz szerzej latać;
Dziś żadnego nie znajdziesz w nowogródzkiej gminie,
Co by ci zanucił piosnki o Grażynie.
Dudarze ją śpiewają, powtarzają dziewczki,
I dotąd pole bitwy zwą polem Litewki.

